

Chrystus Król – witajcie w telenoweli!

3 stycznia 2011

✖ Kiedy niedawno w Świebodzinie montowano 53-metrowego Chrystusa Króla, popadłem w zadumę. Nie tyle z tego powodu, że stanowi on dobrą, wizualną metaforę polskiej religijności: z zewnątrz widowiskowej i szablonowej; wewnątrz wypełnionej ciemną pustką wśród prozaicznych rusztowań. Popadłem w zadumę, bo jestem z tego miasteczka. Pobierałem wszak w nim nauki szkolne i zrobiłem maturę. A w międzyczasie (dzięki książkom i głośnikowi, który biednym zastępował wtedy radio) nauczyłem się mówić po polsku. Boć, gdy doń przybyłem tuż po wojnie w jednym z bydłowych wagonów, jakimi na Ziemi Zachodnie przemieszczono repatriantów ze Wschodu, miałem kilka lat i paplałem tylko językiem „swojskim”, czyli mieszaniną białoruskiego i jakiejś kresowej odmiany ludowej polszczyzny. Różniłem się tym od przybywających tu z innych okolic kraju, mówiących inaczej i dla nas wszystkich obco.

Moja zaś rozległa, wielopokoleniowa rodzina była chłopska. Jak i podobne do niej, stanowiące miasteczkową większość, nie tylko zasilila nieliczne fabryki i zakłady pracy w niewykwalfikowaną siłę roboczą, ale też prowadziła drobne gospodarstwo. Miała pole, świnie, drób. Chciała jednak, by, dzięki wykształceniu, dzieci „wyszły na ludzi”. I widziano ich przyszłość jako księży, urzędników czy lekarzy. Owe rodziny (wraz z moją) tkwiły jednak mentalnie w świecie wschodniej wsi. Bały się nowego, marzyły o powrocie „za Bug”. Modliły się o to. A czyniły to nie tylko w kościołach, ale i w domach przed kolorowymi obrazkami świętych lub figurkami Jezusa czy Matki Boskiej, które kupowano na jarmarcznych straganach od wędrownych handlarzy. Do dziś zresztą znajdują się one na honorowych miejscach w wielu świebodzińskich domach.

Nic jednak dziwnego, że między ich dziećmi a nimi narastało z wolna poczucie odrębności, dystansu a nawet swoistej obcości. A też miasteczko i region, w którym było położone (Ziemia Lubuska) z istoty jawiły się jako nie do końca „swoje”. Z jednej wszak strony (dzięki szkole, książkom, radiu, gazetom) kształtowała się w ich pociechach już inna mentalność; z drugiej – region nie był ani dawną krainą zabużańską, którą nauczyli się od dorosłych idealizować, ani Polską po prostu. Zostały one skazane na swoistą próżnię duchową i kulturowe wykorzenienie. Znajdowało to wyraz zarówno w sztubackich wygłupach, jak i przypływach i odpływach żarliwej, czystej religijności. Objawiało się to nie tylko w domu, ale i w szkole czy podczas nabożeństw. Kształtowało też ambicje i dążenia, by robić coś, co w głowach ojców, matek i innych starszych tubylców nawet nie zaświtało. Niektórzy sprostali potem tym ambicjom, inni nie. Zastygli w miasteczku. Choć z zapuszczaniem gdziekolwiek autentycznych korzeni (zwłaszcza kulturowych) i zapełnieniem tej próżni zawsze było nie najlepiej. Opisałem to zresztą dokładniej w wydany w Ossolineum w 1981 r. tomie esejów pt. „Bez stałego adresu”.

Wielu z nich chciało coś w miasteczku zmienić. Powstawały dzięki nim towarzystwa miłośników Świebodzina, koła artystyczne i literackie itp. itd. Ale i wewnątrz niego i na zewnątrz znaczyło to niewiele. Gasło więc nie tylko w zwykłej małomiasteczkowej jednostajności i niemożności, lecz i w kontekście omszałych wzorów kulturowych, przywiezionych tu przez ich rodziców. Rok po roku tedy stawali się do nich podobni. Żenili się z żonami, jak śpiewała Sława Przybylska, płodzili dzieci, dorabiali się i święcili wszystkie dni w roku święte. Choć zawsze łatwo znajdowałem z nimi wspólny język, bo nadal brak było korzeni; próżnia zaś czała się tuż za plecami. Żyli w niej sami i uczyli żyć potomstwo – dzisiaj dawno dorosłe i traktujące świat dziadów i ojców, jak krainy mrzonek i baśni. Sam zaś Świebodzin, zwłaszcza, gdy wkoło niego zbudowano w latach 1970. obwodnicę, zdawał się zapomniany przez Boga i ludzi. A kapitalizm, gdy przyszedł,

też nie zmienił ich życia w coś szczególnie znaczącego.

Kiedy więc w Świebodzinie montowano niedawno 53-metrowego Chrystusa Króla, popadłem w zadumę. Pomyślałem sobie, iż to całkiem oczywiste i naturalne, że zdarzył się właśnie tu nawiedzony proboszcz, któremu musiał przyśnić się Jezus, żądający swego pomnika pod postacią Chrystusa Króla. Już sam bowiem jego pomysł wpisywał się w od lat istniejącą aurę kulturową: obiecywał nowe korzenie i pełnię. Gdyby takiego duszpasterza nie było – trzeba by go wymyślić, na podobieństwo owego z „Ranczo” czy z „U Pana Boga za piecem”. Tylko bowiem on mógł coś takiego zrobić. I właściwie – jedynie to.

Proboszcz bowiem, jak dawni sekretarze komitetów powiatowych PZPR, prowadzi tu politykę kadrową. Kadry zaś, jak mawiał pewien zapomniany dziś klasyk, decydują o wszystkim. Dzięki temu zatem można było nie tylko znaleźć odpowiednich inwestorów, zgromadzić środki (ze „spontanicznych” datków), rozpocząć i zakończyć inwestycję. Można też było obejść ukradkiem przepisy, dotyczące zagospodarowania terenu i zabezpieczyć zgodny, urzędowy aplauz dla monumentu oraz uciszyć wszelkie sprzeciwy. A równocześnie tylko on, którego we śnie nawiedza sam Bóg, mógł przyzwolić, by mówiono, że posąg nie tylko na cały świat rozsławi Świebodzin, ale i stanie się źródłem dobrobytu, bo Chrystus Król zstąpi na świebodzińską ziemię także jako atrakcja turystyczna. Ten bowiem ewangeliczny „niesłusznie” mawiał: „Spójrzcie na ptaki niebieskie: nie sieją, nie orzą a żyją”, więc śpi w niepamięci. Ten z postumentu zaś nie sprzeciwi się sławie i ziemskiemu ubogaceniu mieszkańców, dzięki dyskotekom, barom i hotelom dla turystów.

Dobrze wiem, że nie ma już tego miasteczka z okresu mojego dzieciństwa i licealnej młodości. Nie ostał się też w swej pełni (może poza akcentem) dawny język repatriantów. A dzieci owych przymusowych przybyszów ze Wschodu już od jakiegoś czasu dogorywają na nędznych rentach i emeryturach, oglądając telenowełe i filmy przygodowe. Trwają jeno stare lęki przed

nowym i wiara, taka sama, jak ich rodzicieli, że trzeba i można wymodlić cud. Nie taki wszakże, co zapewni powrót do idealizowanego niegdyś kraju za Bugiem, ale takiego, który pozwoli, by nie ruszając się z miejsca, nie uciekając stąd, być poza nim i zarazem u siebie.

Modlili się więc długo do kolorowych obrazków i gipsowych figurek Jezusa i Matki Boskiej oraz w kościołach. I stało się tak, jak w telenoweli. Zło przeminęło, dobro i miłość zwyciężyły. Cud się zdarzył! Nastał proboszcz, który ich wyniósł nawet ponad Rio de Janeiro! Gdy jednak montowano w Świebodzinie głowę 400-tonowego, wysokiego na 53 metry Chrystusa Króla, jeden z internautów napisał: „po co Świebodzinowi taki wielki piorunochron”. Nie wiedział jednak, bo był pewnie ubogi duchem, że potrzebny on po to, aby zabezpieczyć miasteczko przed gromami wykorzenienia, próżni wewnętrznej, niepewności i biedy.

Szalona to wszakże różnica, czy pomnik wynosi się ponad światową stolicę samby i karnawału; ponad wrzący tygiel różnic ekonomicznych, rasowych, kulturowych i religijnych, czy też przytłacza prowincjonalną, zapyziałą miejscinę, zapomnianą przez Boga i ludzi, skazaną na ekonomiczną i kulturową degradację w przeciągach dzikiego kapitalizmu. Ponadto: to, na co w latach 1920. stać było stolicę wielkiego kraju, dzisiaj znajduje się już w kręgu możliwości nawet małego, polskiego miasta. Nie dlatego, że stało się ono (proporcjonalnie) tak samo bogate, lecz z tej przyczyny, że aż tak spadły koszty produkcji takich monumentów. Na jego postawienie więc w Świebodzinie stać było teraz zaradnego proboszcza, który odpowiednio zaktywizował władze miasta i przykościelne owieczki. To zaś, co ważne dla mentalności prowincjonalnej, zyskuje wartość przede wszystkim przez porównanie z tym, co już istnieje w jakiejś metropolii lub jest w świecie jedyne.

Nie mają zaś znaczenia estetyka i walory artystyczne. I mieć nie muszą. W przedstawianym tu skrótowo kręgu kulturowym nie dopuszcza się do świadomości, że sztuka w dzisiejszym świecie

zaczyna się od łamania szablonów i stereotypów; że jej wartość określa stopień oryginalności danego tworu. Nie dopuszcza się, boć taka sztuka musi być odrębna i obca wobec tego, co wspólnotowe; co jawi się, jako dla jego uczestników ładne, bo podobne do... (np. postaci ze świętego obrazka, gipsowej figury, znanej z rodzinnego domu) lub jakoś kojarzy się lub przypomina to, co znane, jak świebodziński Chrystus Król tego z Rio de Janeiro.

Zadumałem się nad tym wszystkim. Ale nie chciałbym, aby te wyrywkowe wspomnienia i refleksje nad nimi w związku z świebodzińskim dziwolągiem łączone były z ironią wobec niego i wyśmiewaniem się. Gdyby bowiem pociągnąć te rozważania dalej, można odsłonić rzeczywisty grunt, na którym rośnie i rozkwita intelektualnie szokująca nie tylko polska religijność, lecz i ogólnopolska (tak samo prowincjonalna) prawicowość. Ale to już sprawa na osobne rozważania.

Autor: Jan Kurowicki

Zdjęcie: [ProhibitOnions](#)

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

O AUTORZE

Prof. dr hab. Jan Kurowicki jest filozofem, pisarzem i poetą. Kieruje Katedrą Nauk Społecznych Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. W bibliotece LMD została wydana jego książka pt. „Estetyczność środowiska naturalnego”.